



Anita Sokołowska

JEST ŻYCIE PO SERIALU

Gra w „Przyjaciółkach” była dla mnie ważna, ale po kilku latach zaczęłam czuć, że potrzebuję zmiany. Coraz silniej czułam, że chciałabym spróbować czegoś nowego, ale żeby to zrobić, muszę znaleźć na to czas i przestrzeń w głowie. Zdaję sobie sprawę,

że ktoś to przeczyta i pomyśli: „Czego ta baba narzeka? Ma popularność, kasę, pracę i spełnienie”. Odpowiadam: potrzebne są mi nowe wyzwania – mówi Marcie Górnej Anita Sokołowska.

• Rozmowa z aktorką ►18 -19

Anita Sokołowska:

MOJE DOŚWIADCZENIE TO MÓJ PASZPORT

U nas zaśpiewasz raz i już jesteś aktorem śpiewającym. I nie zagrasz już u np. Jana Holoubka. Jesteś z wodewilu – mówi Anita Sokołowska, aktorka i reżyserka.

ROZMOWA Z
ANITĄ SOKOŁOWSKĄ
aktorką

MARTA GÓRNA: Po 11 latach rzuciłaś granie w popularnym telewizyjnym serialu. Jest życie po „Przyjaciółkach”?
ANITA SOKOŁOWSKA: Już prawie zapomniałam, że je robiłam. Tak, jest życie po „Przyjaciółkach”. I jest dobre. Okazało się, że świat ma mi wiele do zaoferowania. Do tego stopnia, że jestem w ciągłym biegu i najchętniej wyjechałabym teraz odpocząć.

„Przyjaciółki” musiały dawać ci poczucie bezpieczeństwa. I zawodowego, i finansowego. Rezygnując z tego, podjęłaś spore ryzyko.

– Dość szybko poczułam na planie, że praca według ściśle określonego harmonogramu, system, w jakim kręci się u nas serial telewizyjny – dwa sezony, czyli około ośmiu miesięcy w roku – są dla mnie trudne.

W polskim show-biznesie nigdy nie wiesz, czy odcinki, które kręcisz teraz, nie będą ostatnimi. Serial mocno organizuje życie. A ja grając w „Przyjaciółkach”, pracowałam jeszcze w teatrze w Bydgoszczy, urodziłam syna.

Gdy patrzę teraz na tych 11 lat, to zastanawiam się, skąd miałam na to siłę. W Bydgoszczy grałam wieczorem spektakl, rano już byłam na planie w Warszawie, jeździłam między miastami z małym Antkiem. Moje ciało zaczęło mi wysyłać sygnały, że już dość.

Dlatego rzuciłaś „Przyjaciółki”?
– Moja wyobraźnia musi pracować.

Co to znaczy?

– Praca w serialu była dla mnie ważna, ale po kilku latach zaczęłam czuć, że potrzebuję zmiany. Decyzja o odejściu nie przyszła szybko, bo i nie była łatwa. Mimo zmęczenia dużo się uczyłam.

Coraz silniej czułam, że chciałabym spróbować czegoś nowego, ale żeby to

zrobić, muszę znaleźć na to czas i przestrzeń w głowie. Zdaję sobie sprawę, że ktoś przeczyta moje słowa i pomyśli: „Czego ta baba narzeka?”. Ma popularność, kasę, pracę i spełnienie. Odpowiadam: potrzebuję nowych wyzwań.

To dlaczego tak długo czekałaś z odejściem?

– Martwiłam się, że gdy odejdę, moje serialowe przyjaciółki będą miały problem, ekipa straci pracę, serial nie będzie kontynuowany. Zostałam z poczucia obowiązku i odpowiedzialności. Gdy już podjęłam decyzję, to uprzedziłam – zdaje się dwa lata wcześniej – o odejściu producenta, omówiliśmy warunki i rozwiązanie, które gwarantowało, że produkcja będzie kontynuowana beze mnie.

Tvoja serialowa Zuzia umiera. Miałas jakiś wpływ na zakończenie jej wątku?

– Nie. Oddałam pole manewru twórcom serialu i moim koleżankom z planu. Próbowaliśmy różnych myków: wysłaliśmy ją do Berlina i miała wracać na gościnne występy. Widzowie ciągle pytali: gdzie jest Zuzia, co z Zuzią? I dlatego producenci podjęli radykalną decyzję o mojej śmierci. To znaczy: śmierci mojej postaci.

Nie chciałam być na spotkaniu, na którym ważyły się jej losy. Jechałam na rowerze i zadzwoniła do mnie Aśka Liszowska. Powiedziała: „Dobra, decyzja podjęta. Masz nawrót raka”. Zsiadłam z roweru. I wtedy właśnie, po tym telefonie, odetchnęłam z ulgą. Jechałam dalej na rowerze lekka jak piórko, bez poczucia strachu. Klamka zapadła.

Nie lubiałaś swojej bohaterki?

– Czasami. Zuzia miała zupełnie inną osobowość niż ja. Odbarzyłam ją swoim temperamentem. Na początku wydawała mi się po prostu za bardzo wymyślona, nie znałam takich kobiet jak ona. Czułam, że to jest jakaś nieprawdopodobna postać, długo się z nią mierzyłam.



FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Anita Sokołowska

• Aktorka filmowa, serialowa i teatralna, reżyserka. Występowała w serialach „Na dobre i na złe” i „Przyjaciółki”, niedawno można ją było zobaczyć w filmie „Furioza”. W teatrze grała m.in. u Machulskiego, Dejmkę, Klaty, od ubiegłego roku zajmuje się też reżyserią teatralną. W Teatrze Polskim w Bydgoszczy zrobiła „Komediantkę”, a w teatrze Garnizon Sztuki spektakl „Nienasyceni”, który premierę miał w lutym 2024 r.

W końcu dałam jej sposób chodzenia, mówienia, reakcji, odpowiadania i dowcipkowania, zaakceptowałam ją, jej wady przekulałam w siłę i to pozwoliło mi wydobyć z niej coś interesującego. Dzięki scenarzystkom serialu miałam dużo możliwości, Zuza zaczęła się rozwijać, a ja ją w końcu rozbroiłam.

Mówisz, że na wieść o jej śmierci poczułaś ulgę. A lęki?

– Oczywiście, że się bałam. Tego, czy dostanę kolejną propozycję. W końcu stworzyłam charakterystyczną postać, a przez to wszyscy zaczęli myśleć, że jestem też aktorką charakterystyczną. Martwiłam się też o finanse. Nie ma co się oszukiwać: kręcenie popularnego serialu wiąże się z regularnymi, fajnymi zarobkami. Bałam się też o organizowanie życia. Przez ponad dekadę ktoś to robił za mnie. Mówił, gdzie mam być, o której, kiedy mam jechać na wakacje. Teraz sama walczę o swój dzień, życie, ustalam porządek. Mam jednak to, czego nie miałam wcześniej.

REKLAMA



Stowarzyszenie
im. Ludwiga
van Beethovena



projekt współfinansuje
miasto stołeczne
Warszawa



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Narodowy
Instytut
Muzyki
i Tańca

Definiowane ze środków Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego podlegających Funduszu
Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”,
realizowanego przez Instytut Muzyki i Tańca

PARTNER GŁÓWNY



MECENAS



PARTNER



PATRONAT MEDIALNY



28. wielkanocny
festiwal
ludwiga van
beethovena
warszawa
17–29 marca 2024
beethoven.org.pl



Kraj/34306659

Wolność?

– Wolność. Artystyczną, w podejmowaniu decyzji. Wybrałam siebie sprzed lat. Lubię ryzykować, zmieniać, szukać. Kiedyś zrezygnowałam z roli w serialu, bo dostałam Ofelię w „Hamlecie” Dejmką. Środowisko mnie wtedy nie rozumiało, ale ja zawsze najpierw wybieram teatr. W ostatnich latach grałam w produkcjach komercyjnych, ale teatr jest w moim sercu. W Teatrze Polskim w Bydgoszczy byłam spełniona. Robiłam tam rzeczy ciekawe, trudne, dotykałam tematów społecznych, politycznych, mogłam pracować z wybitnymi reżyserami, opowiadać skomplikowane formalnie i narracyjnie historie. Aktor uczy się od aktora. Potrzebuje inspiracji i rozwoju.

W polskim show-biznesie nawet wybitny aktor gra w serialach.

– Seriale mają różne odbłaski. Mogą być obyczajowe, ze sznitem telenoweli, albo wysokobudżetowe i ambitne. Nie ma co ukrywać, że serial to zastrzyk finansowy dla aktora, czego, niestety, nie gwarantuje praca w teatrze. Oczywiście oprócz pieniędzy rola w dobrym serialu potrafi być wyzwaniem i przyjemnością.

Gdyby za występy w wybitnych spektaklach były przyzwoite pieniądze, to nie musielibyśmy wstawać o godz. 5 rano, jechać na plan serialu, potem lecieć na nagranie dubbingu, a wieczorem grać jeszcze spektakl. W USA taki system jest nie do pomyślenia, a u nas dzień jak co dzień w życiu aktora czy aktorki. Niemniej jednak kocham tę pracę i staram się mimo natłoku spraw wykonywać ją najlepiej jak potrafię.

Trudno w teatrze grać z misją, skoro trzeba myśleć o kasie? Widzowie też często przychodzą do teatru, żeby zobaczyć z bliska aktorów, których znają z ekranu. Mamy do czynienia z odwróceniem priorytetów w teatrze?

– W pewnym sensie tak, ale sama przecież gram i reżyseruję w Garnizonie, który jest teatrem komercyjnym, choć na wyższym poziomie. Mimo że często najważniejsze rzeczy dzieją się w teatrach publicznych, teatr komercyjny też potrafi opowiadać o ważnych, dotyczących nas sprawach.

Myślisz o sobie bardziej jako o aktorze teatralnej czy serialowo-filmowej?

– I w jednej, i w drugiej przestrzeni chciałabym robić swoje. Wrażliwość w budowaniu postaci nie różni się niczym w teatrze i serialu, ale kontekst opowieści jest inny. Obie przestrzenie są interesujące i potrafią być aktorskim wyzwaniem, dlatego życzę sobie możliwości realizowania się w każdej z nich.

W teatrze grasz całą swoją fizycznością. Bartek Opania powiedział mi kiedyś, że dobrego aktora pozna się po serialu. Tym, czy jest w stanie utrzymać skupienie widza i uzyskać prawdę, w bliskim kadrze, pokazany od pasa w górę albo na zbliżeniu.

W filmie sprawę ułatwia np. kontekst historii, inny rodzaj obrazu, plenery, praca kamery, muzyka. W serialu codziennym czy cotygodniowym wszystko zależy od tego, czy umiesz oddać prawdziwie emocje w ciasnych kadrach, czyli czy umiesz wiarygodnie powiedzieć swój tekst.

Szufladka „aktorki komercyjnej” sprawiła, że postanowiłaś zająć się reżyserowaniem? W ubiegłym roku zrealizowałaś „Komediantkę” Reymonta w Teatrze Polskim w Bydgoszczy, w lutym premierę mieli twoi „Nienasyceni” w warszawskim Garnizonie.

– To nie tak, że to była jedyna moja alternatywa. To, że wzięłam się do reżyserowania, to suma wszystkich moich doświadczeń zawodowych z ostatnich 20 lat. To kolejny przystanek, możliwość opowiedzenia czegoś przez pryzmat mojej wrażliwości. Bałam się tego. Bo miałam właśnie tę łatkę aktorki komercyjnej: milej, w miarę ładnej, w miarę zgrabnej.

Martwiłam się, że tak będę oceniać. No wiesz: „Ta Anita z serialu teraz chce coś robić w teatrze”. Ale pomyślałam sobie: „Masz już 48 lat. Najwyżej ci nie wyjdzie”. Postanowiłam słuchać swojej intuicji i wierzyć, że mój głos ma znaczenie. Że jestem ważna.

Wcześniej nie miałaś takiego poczucia?

– Nie miałam. Miałam za to kompleksy. Poczucie, że nie powinnam chcieć więcej, że praca w serialu jest okej, więc po co to komplikować. Trochę tak jest, że w ambitnym teatrze jest jakaś rezerwa na tych „innych” aktorów.

Podobnie jest w polskim kinie komercyjnym. Te same twarze na plakatach komedii romantycznych to normalka. Dla widza to irytujące, a jakie jest dla aktora czy aktorki?

– Dla aktora, który nie gra, to frustrujące. Tylko kilka razy byłam na prawdziwym castingu do filmu czy serialu. Panuje u nas brak wiary w to, że aktor ma w sobie różne dźwięki, że może zagrać inaczej, a aktor moim zdaniem, który pracuje w teatrze, może bardzo dużo.

Teraz robię serial z Kingą Dębską. Dała mi do zagrania postać, która jest zupełnie oderwana od mojego emploi. Za chwilę wchodzę na plan filmu i też jestem obsadzona „nie po warunkach”. Nareszcie! Zazwyczaj jest tak, że reżyser myśli sobie: „Iksińska była dobra tutaj, to u mnie też się sprawdzi”.

Mówisz, że zagrasz postać inną od twojego emploi. Oglądając „Nienasyconych”, pomyślałam, że taką szansę dałaś też swoim aktorom. Np. Maciejowi Zakościelnemu, który gra w sztuce faceta nietoksycznie męskiego, słamszonego przez silną żonę, czasami zaskakująco dowcipnego.

– O to mi właśnie chodziło. Zależało mi, żeby te kontrasty wybrzmiały i nie wszystko było oczywiste. To jest zawsze dla mnie najciekawsze: pokazać

Tylko kilka razy byłam na prawdziwym castingu. Panuje u nas taki brak wiary w to, że aktor ma w sobie różne dźwięki, że może zagrać inaczej

coś, czego nie widać na powierzchni. A aktorzy, z którymi mam przyjemność przy „Nienasyconych” współpracować, świetnie się w tym odnaleźli i stworzyli postaci, które są w kontrze do tego, jacy sami są lub kogo zdarza im się grać.

A co jest największym wyzwaniem dla ciebie w wejściu w rolę reżyserki?

– Ufanie sobie. Kiedy reżyserowałam „Komediantkę” w Bydgoszczy, pracowałam też z aktorami, których znam. To nie było proste zadanie. Z koleżanki stałam się reżyserką. Musiałam budować zaufanie, pokazać, że potrafię ich poprowadzić i opowiedzieć historię.

Przy „Nienasyconych” pracowałam z silnymi, rozpoznawalnymi osobowościami. Dotrzeć do wrażliwości i pokładów nieoczywistych emocji też nie było mi łatwo. Zrobiłam wszystko, żeby z tego spektaklu wydobyć nie tylko celne żarty, ale też taką głębszą refleksję na temat relacji, czegoś, co jest bliskie każdemu z nas. Chciałam, żeby każdy, niezależnie od wieku, rozpoznał się w jednej z sześciu postaci.

Ty też się w którejs rozpoznajesz?

– Przy tym spektaklu o tym nie myślałam. Przy „Komediantce”? Gdybym miała się nad tym głębiej zastanowić, to główna bohaterka jest jakąś reprezentacją mnie. W końcu to opowieść o dziewczynie z prowincji, która przyjeżdża do Warszawy zostać aktorką. Jakby Reymont pisał trochę o mnie, sporo się zgadza. Jestem dziewczyną z Lublina, na wszystko muszę pracować sama, czasami dwa razy ciężiej niż inni. To oznacza też dwa razy więcej kompleksów, choć akurat to może być kwestią wychowania. Takie pokolenie.

Kiedy byłam w szkole teatralnej, Jan Machulski obsadził mnie w roli Szekspirowskiej Julii. Myślałam, że oszałeję ze szczęścia, ale też z niepewności, czy zasługuję, by grać takie role. Teraz czuję się pewniej, wzmocniłam się i wzmocnił mnie też feedback od widzów i współpracowników. To mnie podnosi na duchu, kiedy opadam z sił.

Tak było też na premierze „Nienasyconych”. Grażyna Wolszczak wzywała mnie po premierze na scenę, a ja nie

Kiedyś zrezygnowałam z roli w serialu, bo dostałam Ofelię w „Hamlecie” Dejmką. Środowisko mnie wtedy nie rozumiało, ale ja zawsze najpierw wybieram teatr

mogłam się przebić przez tłum ludzi, którzy otoczyli mnie z gratulacjami. Słyszałam spontaniczne: „Powinnaś to robić, to świetne przedstawienie”. Byłam bardzo wzruszona. Nie wyobrażam sobie lepszej nagrody za ciężką pracę.

Te kompleksy to bardziej twoja siła czy słabość?

– Myślę, że siła. Wywołują nieśmiałość. Tworzą moją osobowość, to, że nie jestem oczywista. I sprawiają, że wciąż muszę przekraczać własne granice. Teraz np. biorę udział w „Tańcu z gwiazdami”, mam zupełnie nowe doświadczenie pracy nad ciałem, Myślałam, że to będą Rysy w moim przekraczaniu granic, a to Mount Everest.

Kiedyś skakałam ze spadochronem, ale tam przekraczałam tylko moją barierę w głowie, w momencie skoku. Kolega powiedział mi, że skok ze spadochronem jest lepszy od orgazmu. Nie był. Więc skoczyłam znowu, bo chciałam to sprawdzić. I znowu. I znowu. W końcu ta formuła się wyczerpała.

Mogłabym skoczyć na planie filmu, ale potrzeby, by znowu to przeżyć, nie mam. Taniec to zupełnie innego rodzaju doświadczenie. Precyzyjna robota, w której musisz pamiętać dokładnie, kiedy wypiąć pupę, a kiedy zrobić gest dłonią. To wszystko jeszcze naznaczyć swoją emocją. I stworzyć widowisko.

Mówisz, że jesteś padnięta, marzysz o wakacjach. A jeszcze angażujesz się w akcje społeczne, np. w pomoc na granicy polsko-białoruskiej. Robiłabyś to nawet bez tego pontonu, który tworzy twoja popularność?

– Nie da się być wszędzie. Bycie wszędzie oznacza, że jesteś nigdzie. Mimo to zawsze miałam poczucie, że muszę pomagać. To, że mam zasięgi i mogę być tubą dla innych, tylko mnie umacnia w przekonaniu, że muszę to robić.

Co byś powiedziała swojemu synowi Antkowi, gdyby pewnego dnia obwieścił, że chce być aktorem?

– Powiedziałabym: spoko. A potem: może idź też na politechnikę? Aktorstwo to bardzo ciekawy zawód, ale też bardzo trudny. Ja jestem szczęściarą, bo dużo pracuję, ale nie każdy ma na to szansę. Cały czas powtarzam Antkowi, że jeśli praca jest jednocześnie pasją, to wszystko w porządku. Warto mieć jednak zawsze plan B. U mnie działa bycie na takim rozwidleniu między komercją a rzeczami bardziej ambitnymi.

Więc fajnie jest na tym rozwidleniu?

– Można się do niego przyzwyczaić. Najważniejsze to uczciwie robić swoją robotę. W USA, gdy ktoś gra, produkuje, śpiewa i tańczy, uznaje się, że to jednostka wybitna. U nas zaśpiewasz raz i już jesteś aktorem śpiewającym. I nie zagrasz już u np. Jana Holoubka. Jesteś z wodewilu. A dlaczego właściwie ja nie mogę śpiewać, reżyserować i grać? Moje doświadczenie to mój paszport. Proszę bardzo, kładę go na stole, nazywam się Anita Sokółowska. ●